

Kronika tygodniowa.

Piękna polska jesień...

Tak jest, mamy ją już, wprowadzić jeszcze nie kalendarzową, ale przecież w całej pełni i w całej jej krasie. Deszcz pada co najwyżej dwa razy dziennie, nie mówiąc już o nocy, gdyż wówczas siedzi się w domu, choćby tylko ze względu na „rzęsisca” oświetlenie ulic, ograniczone *ad minimum*, co przeciętnego śmiertelnika naraża na rozbicie sobie nosa o słup latarniany lub drzewo plantacyjne.

Spotkałem onegdaj jednego ze znajomych, noszącego na swym cyferblacie ślady podobnego „zderzenia się”, ale dowiedziałem się też, ku memu wielkiemu zadziwieniu, że nie jest to następstwem nocnej wędrówki po ulicach miasta, ale, przeciwnie, spotkała go ta przyjemność w pewnym pierwszorzędym lokalu, posiadającym zupełnie nienagannie funkcjonujące oświetlenie elektryczne. Blizna na nosie to widoczny ślad rozmowy ożywionej z panem platynicznym, który w ten, bardzo kulturalny sposób, „wydał mu resztę” przy regulowaniu rachunku.

Usłyszawszy to, pomyślałem sobie, że stosunki bolszewickie zaczynają się przyszczać na nasz grunt i że niejeden kelner, choć bardzo elegancko i inteligentnie wygląda we fraku, nie jest przecież w samej rzeczy takim, jakim się na oko przedstawia.

I to stało się jednym powodem więcej, że stronię od restauracji, wychodząc z tego założenia, że „co tobie dziś, mnie jutro...”, a ja nie jestem nawet ubezpieczony od wypadku.

Zdenerwowanie kelnerów kładę poczęści na karb nieuwzględnienia ich postulatów co do owego dziesięcioprocentowego podatku, jakim na ich korzyść mieli być obłożeni goście restauracyjni i kawiarniani, zamiast detychczasowych „napiwków”, obrażających rzekomo ich ludzką godność.

Tak przecież widocznie nie było, skoro głównymi przeciwnikami owego nowego porządku byli właśnie najstarsi z ich grona, to jest płatnicy, nie mogący się pogodzić z tą myślą, iż ich dochody mogłyby być uszczuplone, a tak być musiało, gdy, w myśl owego zarządzenia, mieli się dzielić z resztą personelu „wpływami”, sami sobie jedynie zostawiając pięć procent, za „ciężką pracę inkasowania należności”.

Nie dziwię się temu bynajmniej, że ktoś woli pięćdziesiąt tysięcy rocznie, zamiast dwudziestu pięciu, bo i sam, gdybym się znalazł w podobnym położeniu, nie postąpiłbym z pewnością inaczej.

Ale biedny dziennikarz lub literat o podobnych dochodach nawet śnić nie może, choć także posiada frak, lecz nie do codziennego użytku, jeno przeznaczony na tak zwane „wielkie wystrzały...”, z których pierwszym ślub, a ostatnim przeniesienie się do lepszej przyszłości.

Zresztą, dzięki obecnym stosunkom, wywołanym wypadkami wojennymi i dziwić się nie można, że ktoś jest wojowniczo nsposobiony, ale to tylko szkoda, że tę energię wyładowuje tutaj, w *Hinterlandzie*, a nie na froncie, gdzie byłaby stanowczo bardziej pożądana.

Ale trudno. Z czymś podobnym spotykaliśmy się zresztą i w pokojowych czasach. Już wówczas było wielu kupców i przemysłowców, zwłaszcza zaś restauratorów i kawiarni, którzy, zapominając o tem, że nie nos jest stworzony dla tabakierii, ale odwrotnie, uważali, iż robią bliżnim wielką łaskę, jeśli im coś wogóle raczą sprzedać. W ich ślady wchodził też i ich personal i na każdym kroku dawał to odczuć odbiorcy.

W miarę, jak w wojennym czasie taki pan knieć lub przemysłowiec zaczął coraz bardziej porastać w pierze, stawał się też i coraz bardziej wymagającym, uważając się za prawdziwego dobrodzieja ludzkości. Ale zapomniał, że wojna się przecież raz musi skończyć i że odbiorcy zapamiętają sobie jak byli swego czasu traktowani i że do tego za swe własne, ciężko zarobione pieniądze.

Ilu znam kupców i przemysłowców, nie spotkałem między nimi ani jednego, który nie narzekałby, ile on stracił na wojnie, ile każdy z nich prosi w duchu Pana Boga, aby te stosunki, jakie są dzisiaj, trwały choćby wiecznie, a oni mogli ciągle wsłuchiwać z temi trudnościami, na jakie obecnie napotyka, co im bynajmniej nie przeszkadza w gromadzeniu marnej mamon, choćby tylko papierowej, kupowanie u realności itd.

Dziesięcioprocentowy podatek restauracyjno-kawiarniany nie utrzymał się zatem, dzięki opozycji części samychże interesowanych, istnieje dotąd natomiast drugi podobny dodatek, także dziesięcioprocentowy, nałożony przez panów księgarzy, podobno tylko w Galicji zachodniej, na kupującą publiczność, bez względu na to, że książki w wojennym czasie podróżowały prawie w czwórmasób. Ale od przybytku głowa nie boli, wobec tego w kieszeni właściciela pomieści się i ów do-

datek, zwłaszcza, że motywuje się go bardzo pięknie koniecznością poprawy bytu personalowi księgarskiemu, która powinno było znaleźć swe pokrycie już w owym, stosunkowo bardzo wysokim podrożeniu cen książek.

U nas wszystko robi się we właściwym czasie i z pochwały godnym pośpiechem nie też dziwnego, że dopiero teraz, gdy się już zaopatrzono w książki naukowe przy początku roku szkolnego, przypomniało sobie o tem i ministerstwo oświaty i „ma zamiar” wydać rozporządzenie, zakazujące doliczania owego dodatku do ceny podręczników naukowych. Nie stosujący się do tego mogą stracić pozwolenie na sprzedaż książek szkolnych, czem w danym wypadku miałyby się zająć kierownictwa szkół w swym własnym zarządzie.

Czy owo rozporządzenie ujrzało już światło dzienne, czy też ma się dopiero pojawić w niedalekiej przyszłości, tego powiedzieć nie mogę, ani z ministerstwem, ani z księgarzami nie mając bliższych styczności, nie posiadając też potomstwa w „popisowym” wieku szkolnym.

Równocześnie, ze względu na trudności w nabywaniu podręczników szkolnych, zwróciło się ministerstwo podobno i do ciał nauczycielskich z wakazówką, iż nie można ucznia, nie posiadającego książki, pozbawiać dobrodziejstwa korzystania z nauki, jak się to dawniej działo, za owych lepszych, przedwojennych czasów, gdy uczeń bez przepisane go podręcznika musiał się wynieść z klasy, rzekomo, aby innym nie przeszkadzał.

Czy panowie światłodawcy już się do tego stosują, także nie wiem, ale to wiem, że w jednym z krakowskich zakładów naukowych pan profesor oświadczył kategorycznie uczniowi, że bez książki nie ma co robić w klasie.

Chłopiec na to, jak na lato, rozkazu usłuchał, zwłaszcza że wie, iż dzięki obecnym stosunkom, bez zbytniego zmęczenia się i wytężenia można uzyskać patent na uczonego człowieka, a nawet zdać maturę bez trudności i wysiłku. Nic też dziwnego, że podobnie jak paskarz prosi Pana Boga, by się wojna nigdy nie skończyła, także i pilny uczeń modli się codziennie o to, by podręczniki do Krakowa nie nadeszły, a on mógł używać wolności.

Jednego z młodzieniaszków, który znalazł się w podobnym położeniu, zaopatrzyłem w dwa najważniejsze podręczniki i widziałem, że mu tem bynajmniej nie zrobiłem przyjemności. Zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć:

— A to się wybrał!...

To wszystko razem do opisu owej pięknej polskiej jesieni, od którego zacząłem, bynajmniej nie należy. Skorzystałem przecież ze sposobności, by o tem wspomnieć, bo to sprawy w każdym razie aktualne.

Czy jesień będzie (bo się jeszcze nie zaczęła nawet w kalendarzu...) piękną, tego powiedzieć nie mogę, zwłaszcza, że gdybym zaczynał niniejszą kronikę, padał deszcz, gdy to piszę świeci bardzo pięknie słońce i nawet grzeje, ale ile razy się jeszcze aura zmieni, nim pracę swą doprowadzę *ad finem*, o tem mógłby powiedzieć chyba sam niebieski referent od pogody, a na rok bieżący jest także wybitnie wojenna, tak jak gdyby rozdzielała i normowała ją jakaś centrala. Bo, że lata właściwie nie mieliśmy, to mi chyba każdy musi przyznać, upały natomiast przesładowały nas na wiosnę, gdy się ich nikt jeszcze nie spodziewał, a nasze panie nie miały przygotowanych letnich kostiumów. Wobec tego można żywić zupełnie uzasadnioną nadzieję, że danem nam będzie cieszyć się niemi w jesieni, a może i w zimie, co byłoby nawet bardzo wskazane ze względu na grożący nam w tym roku brak opału, głównie zaś węgla. Tych ostatnich u nas nie brakuje, ale masowo wywozi się je w świat, zwłaszcza zaś na Węgry, w zamian zaś sprowadza się stamtąd mąkę, czy coś tam podobnego.

Zaprowadzenie centrali dla ciepła i pogody byłoby zatem wskazane, dzięki jej bowiem ciepło musiałoby być równomiernie rozdzielane na wszystkie inne pory roku, z szczególnem naturalnie uwzględnieniem Wiednia i jego okolicy. Można przy tej sposobności kreować nową posadę „ministra temperatury”, z którym przed laty mieliśmy się sposobność spotkać, jeśli się nie mylę, w operetce „Mikado”.

Taki pan miałby bardzo piękne pole do rozwinięcia swej błogosławionej działalności dla dobra ogółu, ale też z pewnością i jemu, podobnie jak obecnemu naszemu ministrowi od aprowizacji „spadłyby łuski z oczu” i na pierw zobaczyłby, że w Galicji, choć się ona zowie *Bärenlanden*, jest najcieplej, co być nie powinno, gdyż dzieje się to ze szkodą innym krajom w Radzie państwa reprezentowanych. Posypałby się też zaraz z biurokratycznego regu obfitości (a jest on bezdenny...) najrozmaitsze rozporządzenia w tym kierunku, by podobnemu krzywdzącemu nadużyciu kres położyć. Ale, gdy swego czasu, w czasie rosyjskiej ofensywy, było u nas w samej rzeczy nawet w zimie

ciepło, losom Galicji zbyt się na Zachodzie nie zajmowano i nikt nad nią nie płakał, choć była ona owym przedmurzem, o które rozbijała się przemoc wroga co i uratowało bezsprzecznie resztę państwa i jego najbliższego sąsiada.

O posadę ministra temperatury gotów byłby się nawet i kronikarz ubiegać, już choćby tylko z tego względu, iż wszelką odpowiedzialność ze siebie mógłby spychać na „siły wyższe”, mające na temperaturę, jak wiadomo wpływ decydujący, a od nas, zwykłych śmiertelników, zupełnie niezależne. Do pomocy miałby zresztą bodaj jedną centralę, jeśli nie więcej, różnych doradców, mężów zaufania, komisjonerów i jak się tam ci różnorodni funkcjonariusze wojenni nazywają, nie męczyłby się więc zbyt, a na pierwszego chociażby do kieszeni całkiem przyzwolita pensyjkę, czego, niestety, jako kronikarz uczynić nie może, wybierając ją z zasady napróżd zaliczkami. Gdyby to bodaj potrafił przeprowadzić sanację swych finansów na wzór i podobieństwo gminy miasta Krakowa, która swe wydatki pokrywa z „krótkoterminowych pożyczek”, mających być spłaconymi z długoterminowej, zaciągając się mającej.

Dziś zaś o zaciągnięciu krótkoterminowej pożyczki — nawet na tak zwanej „czarnej giełdzie” — ani myśleć, tembardziej zaś niema mowy o długoterminowej.

Ale, jeśli się jest ministrem, choćby tylko od temperatury, jest się w tem miłym położeniu, że, gdy się sprzykrzy urzędowanie, a strony dadzą się we znaki, podaje się poprostu do dymisji, za co otrzymuje się pochwały w gazetach, order, i co najważniejsze, emeryturę i to wcale przyzwolita.

Choć i ministrem od temperatury trudno będzie zostać. Jeśli zostanie kreowanym podobne stanowisko, jestem pewnym, znajdzie się taka moc kandydatów, że w tym ministeryalnym ogonku, czekającym na portfel dla kronikarza miejsca już nie stanie, zwłaszcza, że będą między nimi tacy, którzy znani są już ze swej działalności na tem polu, jak się u nas zwykle mówi o tych, którzy mają protekcję.

Nie będę więc ministrem, a moja Weronisia ministrowa, ale może to i lepiej, gdyż w danym wypadku, gdyby mi się udało zdobyć to zaszczytne, odpowiedzialne i popłatne stanowisko, nie byłbym w stanie pisać kronik tygodniowych, mając głowę i czas czem innem zajęte. Bo niech sobie przypadkiem ktoś nie myśli, że, dajmy na to, ruszanie wiatrów to coś łatwego... Kto mi nie wierzy, niech raczy spróbować, a z pewnością sam się o tem przekona i przyzna mi rację. Że jednak, jako minister otaczałbym Galicję względami, a nie traktował ją po macoszemu, jak to dotąd z zasady czynili nasi panowie ministrowie, rodacy z tekami i bez tek, w to nikt chyba nie wątpi, kto mnie zna, a, sądząc, znają mnie wszyscy, czytający pilnie *Nowości ilustrowane*, zwłaszcza zaś kroniki tygodniowe, których jestem stałym referentem.

W pierwszym więc rządzie postarałbym się o pogodę w obecnym czasie i o piękną polską jesień, choćbym miał nawet z tego powodu ściągnąć na swą głowę gromy ze strony Ukraińców, gdyż tylko piękny zbiór ziemniaków może nam pozwolić przetrwać zimę i przednowek i doczekać końca wojny. Jeśli mi będziemy mieć co w usta włożyć, podzielimy się tem chętnie i z sąsiadem, a trzeba pamiętać o tem, że rzeczy tak już dziś stoją, iż za korzec ziemniaków śpiewają nam producenci „tylko” sto siedmziesiąt koron, radząc temu, kto wspomina o jakiejś tam taryfie maksymalnej, by ją gryzł, gdy więc jest głodnym.

A jeżeli już dziś ziemniaki, ten najpopularniejszy artykuł spożywczy, do takiej doszły ceny, co będzie w grudniu lub w marcu, zwłaszcza, jeżeli zbiór nie będzie pomyślny?... Trzeba będzie łapę lizać i obejść się smakiem, chyba, że tymczasem będzie już gotowy ów uniwersalny środek, mający nam zastąpić używane dotąd pokarmy, o czem tak szeroko pisano przed laty dwoma lub trzema.

Już ja tam wolę talerz ziemniaków, choćby tylko ze solą, niż całą nawet puszkę owego smakołyku, który z pewnością nikogo nie nasyci, a dobrze zrobi jedynie... wytwórcy i dostawcom.

I dla ministra temperatury jest więc pole do popisu, jeśli kiedy, to właśnie teraz, wobec czego kreowanie tej posady byłoby ze wszechmiar wskazane.

Przez całe trzy dni przygotowywania i pisanie niniejszej kroniki jesienna aura nie zmieniła się ani na jotę, z tem chyba urozmaiceniem, iż mieliśmy dni w które deszcz padał „wyjątkowo” tylko trzy lub cztery razy.

